

# PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

## CENA PRENUMERATY:

w Wilnie

Rocznie . . . . .	7.00
Półrocznie . . . . .	3.50
Kwartalnie . . . . .	1.75
Miesięcznie . . . . .	60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie . . . . .	8.—
Półrocznie . . . . .	4.00
Kwartalnie . . . . .	2.00
Miesięcznie . . . . .	70

## REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od  
11 godziny do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

## CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu . . . . .	50 k
W tekście (nadesłane) . . . . .	1 rb.
Po tekście . . . . .	20 k.

Numer pojedynczy 15 kop.

## Powrotna fala.

Po kilkuletnim okresie martwoty, apatji i rozkładu—w tym olbrzymim kotle, jaki stanowi imperjum Rosyjskie, znów rozpoczął się ferment silniejszy, okres wzmaganania się i podnoszenia gazów, powstałych z nagromadzenia zawodów i krzywd, rozczarowań i bólów.

Pokrywa Stołypinowska, która zamieniła starą, porwaną i rozbitą przez rewolucję 1905 roku, zda się, była dopasowana do kotła tak misternie i szczelnie, że jeżeli nie ludzono się w „sferach“ co do możliwości zduszenia wszelkich załączków życia samodzielnego na zawsze, to w każdym bądź razie liczone na to, że ostudzi ona i obezwładni wszelkie ruchy na dłużej.

Uspakajano społeczeństwo starannie i wszechstronnie. Przetrzeblono żywoły buntownicze; zmieniono ordynację wyborczą do Dumy, by dać głos przeważny niezawodnemu filarowi „ancien régime“: szlachcie; politykę rolną poprowadzono w tym kierunku, by rozbić źródło chłopskiego buntu, „obszcinę“ i wytworzyć prawomyślnego włościanina—posiadacza; usmierzono młodzież uczącą się przez odjęcie autonomji szkołom wyższym, wzmocnienie rygoru, usunięcie niepożądanych profesorów, tworzenie klubów „akademistów“; wpleniono ducha opozycji w ziemstwach; maltretowano prasę; umorzono i „wyjaśniono“ wszelkie wolności obywatelskie; wreszcie, wzięto w kluby idealne niepewnych i zdradzieckich „inorodców“.

Zdawało się że cały ten ogrom „pracy“ winien dać owoce i zapewnić spokój, jeżeli nie na wiek, to na lat dziesiątki. Tymczasem... w kotle znów słychać wrzenie.

Znów jesteśmy świadkami coraz wyraźniejszego pomruku niezadowolenia, pomruku, który, idąc z nizin od warsztatów i chat znajduje echo nawet na powierzchni społecznej, wśród przemysłowców, kupców, inteligencji.

Okazuje się, że czujne oko i czynne ręce władz

nie były w stanie, pomimo wysiłku, przywrócić poszczerbionemu i popekanemu kotłowi dawnej spójności, szczelności i formy.

Okazuje się, że, jak pisał Asnyk,  
„Daremne żale — próżny trud,  
Bezsilne złorzeczenia!  
Przeżytych kształtów żaden cud  
Nie wróci do istnienia!  
Świat Wam nie odda—idąc wstecz,  
Znikomych mar szeregu —  
Nie zdoła ogień, ani miecz  
Powstrzymać myśli w biegu...“

Pierwszy ocknął się z bezwładu robotnik. I jest to zrozumiałe. Jego, jako głównego winowajcę i sprawcę przewrotu, wzięto w kluby najsilniejsze. Skrępował go i odjął mu swobodę organizacji, ruchu — rząd, wyzyskiwał go, korzystając z osłabienia, kapitalista. Zmniejszono mu zarobki, wyrzucano, w razie najmniejszego oporu, na bruk, oddawano w ręce policji. Sądzone, że im więcej będzie krzywdzony, wiązany, tem będzie uleglejszy, mniej niebezpieczny. Zapomniano przecie o tym fizycznym czysto prawie, że nawet ciało nieorganiczne cisnąć można tylko do pewnych granic i że, gdy granice te zostaną przekroczone, kleszcze mogą pęknąć. Zapomniano o tem zwłaszcza nad Leną, gdzie chciwość wilcza kapitalistów, zasłonięta od świata cywilizowanego mil tysiącami i oparta o samowolę policji, czuła się bezkarna i nie znała granic.

Wypadki Leńskie stanowią punkt zwrotny w ruchu robotniczym. Fala strejkowa odtąd rośnie i z roku na rok się podwaja. W braku organizacji zawodowych i kruchości ich istnienia, robotnik poczyna się skupiać około prasy własnej, legalnej, która w Petersburgu, mimo kar, konfiskat, wytaczania licznych spraw o przestępstwa prasowe, istnieje i rozwija się. Obecnie wychodzą w Petersburgu 3 gazety robotnicze, z których 2 — już drugi rok—o kierunku socjaldemokratycznym i trzecia od niedawna—o kierunku „narodniczeskim“. Prasa robotnicza, pomimo to, że liczy dziesiątki tysięcy odbiorców, stoi bardzo nisko. Na możliwym poziomie utrzymana jest tylko gazeta „narodnikow“. Gazety marksistów (jedna

„bolszewików“, druga — „mieńszewików“) nie tyle dbają o uświadomienie robotnika, co o własne porachunki wodzów.

Kłótnie wstrętne wypełniają szpalty. I trzeba rzeczywiście podziwiać robotników, że, pomimo to, o gazety te dbają i zasilają je pieniędzmi. Snać potrzeba organów własnych i potrzeba jakiegokolwiek organizacji, choćby wadliwej i nieodpowiedniej — jest wielka.

O stanie obecnym masy włościańskiej — sędzić najtrudniej. Nurtuje ją głuche, bierno niezadowolenie. Lecz jest to zjawisko w Rosji stałe, z którego żadnych wniosków wyprowadzać nie sposób. Dziś niezadowolenie z rządu jest większe o tyle, że popiera on bezwzględnie wszelkich bogaczy wiejskich („kulaków“), którzy otrzymują z własności ogólnej wsi najlepszą rolę oraz zmuszają do opuszczenia gromady różnych biedaków, by później od nich nabyć ich udział za bezcen. Wobec przecież odosobnienia i rozrzucenia wsi, ciemnoty ludu wiejskiego oraz bardzo troskliwej i baczej pieczy nad nim władz wiejskich, w osobach: duchownego, starosty, pisarza, strażnika, —jedyne ujęcia dla wyrażenia swego protestu szuka on w niezawodnej pocieszycielce—wódce. W czasach ostatnich dużo pisano o „chuligaństwie“ na wsi rosyjskiej. Władze wniosły nawet projekt karnia „chuligaństwa“ cielesnie. Otóż, jak piszą pisma postępowe, „chuligaństwo“ to — poza ekscesami jakie powoduje nadużycie alkoholu — polega głównie na braku poszanowania dla władz wiejskich, okazywanemu przez włościan. Chłop rosyjski ośmiela się nie słucać starosty, ośmiela się nie zdjąć czapki przed p. „uradnikiem“. Toż to chuligaństwo niesłychane! Z tym swojskim, a tak skromnym buntem chłopskim przeciwko ustanowionym przez Boga władzom — te ostatnie pragną na sposób swojski się rozprawić. Wprawdzie i obecnie „rukoprikladstwo“ jest w użyciu powszechnem, lecz... czasy obowiązują, potrzeba zatwierdzenia prawnego, i tego się p. Puryszkiewicz domagają.

Rosnący wciąż pomruk niezadowolenia na nizinach społecznych — z jednej strony, a zwiększająca się wciąż reakcja kół rządowych — z drugiej — nie

mogły nie wpłynąć na stanowisko innych sfer społeczeństwa rosyjskiego.

Nie tylko też sfery konstytucyjne i kulturalne Rosji, t. j. kadeci, lecz i gotowi zawsze dotąd do usług rządowych paździenkowcy poczynają odczuwać brak gruntu pod nogami.

Pierwsi przestali lądzić się, że uda im się za pomocą Dumy przetworzyć Rosję na państwo prawnorządne i konstytucyjne, drudzy przestają wierzyć, że rząd potrafi ochronić klasy posiadające od kataklizmów społecznych, i poczynają wątpić w skuteczność jego polityki wewnętrznej.

Tem objaśnić należy coraz głośniejsze i śmielsze domaganie się ziszczenia reform, obiecanych w manifeście paździenkowym; tem objaśnić należy — wystąpienia Sałazkina w Niżnim Nowgorodzie, Guczkowa — w Kijowie.

Niezadowolenie paździenkowców i strach przed rewolucją są tak wielkie, że paździenkowiec Czi-stiakow, na bankiecie partyjnym, który się odbył niedawno w Petersburgu, wołał z emfazą: „Rządzić dłużej Rosją za pomocą kłamstwa nie można. Tak żyć nie podobna. Nie można dreptać wciąż na miejscu. Czas kompromisów i ustępstw minął. Niechaj ci, komu nie podoba się akt 17 października, idą precz i niechaj zostaną ci, którzy będą go wprowadzać w życie“.

Zdając sobie całkowicie sprawę z grozy sytuacji, z całkowitej rozbieżności dróg, jakimi kroczy rząd i społeczeństwo, stronnictwa burżuazyjne i inteligienkie, t. j. paździenkowcy, postępowcy i kadeci, nie widzą przecież dla się żadnych dróg wyjścia. Obecna sytuacja polityczna dla nich — to zaczarowane koło.

To też, choć twierdzą i wołają, że nie wierzą rządowi, że nań nie liczą, że się co do jego zamierzeń nie lądzą, — starają się przecież nań oddziaływać, jeżeli nie innym sposobem, to postrachem, przedstawieniem mu jaskrawem, że atmosfera obecna jest, jak się wyraził kadet, Adżemow, w przemówieniu z powodu interpelacji w sprawie wolności zebrań, — „atmosferą, stale grożącą przewrotem państwowym“.

Licząc na działanie strachu, kadeci i postępow-

## Z mego notatnika.

A więc będziemy mieli nowy wspaniały teatr... Nie jakiś poroniony płód miejscowych talentów architektonicznych, lecz dzieło monumentalne, opracowane przez wytrawnego budowniczego, wznoszone kosztem przeszło pół-miljona rubli!

Cieszymy się więc!.. Stanie na pamiętnym placu Łukiskim świątynia sztuki, ozdoba Wilna, przedmiot chluby ojców miasta, którzy na ostatniem posiedzeniu swych czteroletnich rządów, powzięli pośpiesznie decydującą uchwałę, snać obawiając się, by zaszczyt ten nie przypadł w udziale ich następcom... A no radujmy się... Nie jesteśmy egoistami, miasto jest bogate i hojne, może sobie pozwolić na taką bagatelkę, jak pół miliona rubli i kawałek najlepszego placu w śródmieściu, by urzędnicy i oficerowie nie potrzebowali obrażać swego wysoce rozwiniętego poczucia estetycznego widokiem nieco zdezelowanego wnętrza obecnego przybytku muzy rosyjskiej.

Jakże? Społeczeństwo polskie z nie małym wysiłkiem zdobyło się na własny nowy gmach teatral-

ny, publiczność rosyjska zaś miałaby pozostać w starym? Ależ to byłoby w najwyższym stopniu niegrzecznie to byłby dowód złego wychowania! Muncypalność wileńska nie mogła wszakże pozwolić na tak niepochlebny opinię o gospodarzach. Znajcie pana! Nie wypada występować z bylejakim prezentem. Nie cofniemy się przed żadnym wydatkiem, byle teatr rosyjski zaćmił i swym stylowym wyglądem zewnętrznym i swem urządzeniem nowoczesnym skromne przedsięwzięcie spółki komandytowej.

Więc się cieszymy i oczekujemy w upojeniu, że przysłowiowa uprzejmość polska spotka się z również przysłowiową wdzięcznością rosyjską. Czem by to istotnie mógł nas rząd obdarzyć wzamian? Może zezwoli na odbywanie zebrań publicznych w języku polskim? Może zniesie zakaz nauczania po polsku? Może skasuje kurje narodowościowe w ziemstwach na Białejrusi? A może przynajmniej zaniecha projektu ograniczenia praw polaków w samorządzie miejskim w naszym kraju? Tak, to ostatnie chyba najprawdopodobniejsze. I najstosowniejsze. A jeżeli tego nie uczyni? Ha, cóż trudno, będziemy wówczas narzekali na niewdzięczność ludzką. Czy to raz się już nam zdarzało? „Przywykły“, jak mówi mieszka-

cy chcą stworzyć w Dumie blok opozycyjny wspólnie z paździenikowcami. Pertraktacje prowadzą postępowcy. Czy jednak przyjdzie porozumienie do skutku? Czy paździenikowcy nie zdradzą i teraz, jak dotąd? I czy wogóle blok ten da jakiegokolwiek rezultaty? Zdaje się, że nawet projektodawcy, kadeci nie ludzą się co do jego owocności,

Wogóle, sesja obecna Dumy IV pod złowróżbnymi została otwarta auspicjami. Ministrowie lekceważą ją i nadal. Poza to, rząd nie jest, zdaje się, skłonny do jakichkolwiek ustępstw i na drogę konstytucjonalizmu wstąpić nie zamierza. Przeszłoby być sobą.

Stanowisko jego znakomicie charakteryzuje w № 13513 „Nowoje Wriemia“ Mienszykow. „Na nasze czasy Rosji starczy,—twierdzą biurokraci — a potem niech nawet trawa nie rośnie\*“).

Lecz czegoż w takim razie należy się spodziewać? Miast odpowiedzi, najroztropniej—postawić jest kropkę.

Wi-ski.

## Zarzuty i wyjaśnienie.

Poniższy artykuł p. M. R. zamieszczamy nie tylko w imię zasady bezstronności. Daje on nam możność rozwinięcia myśli, wyrażonych w № 41—42 naszego pisma oraz umotywowania zawartych w nim twierdzeń, które wywołały zarzuty ze strony p. M. R.

W № 41—42 „Przeglądu Wileńskiego“ w artykule wstępnym p. t. „Maskarada“ p. L. A. zarzuca wileńskiemu organowi postępowców rosyjskich p. t. „Wieczerni aja Gazietę“, szerzenie rusyfikacji w kraju.

\*) На нашъ вѣкъ Россіи хватить. а тамъ хоть трава не расти.

niec tutejszy, który ze swej kieszeni opłaci kosztowne zachcianki „panstwa“.

Coby jednak szkodziło zaczekać z ostateczną uchwałą do nowej kadencji? Po co taki pośpiech? Czy nie grała tu roli również obawa, że w nowym gronie radnych nie pójdzie sprawa tak gładko, że może natrafić na opozycję? Zwyciężyła wprawdzie lista „bezpартyjna“, lecz na niej figurują nazwiska osób, bynajmniej do kompromisu nie skłonnych, nie nawykłych do chowania swego zdania pod korcem. A my tak nie lubimy, gdy się rozlega głos krytyczny, gdy na sali nie panuje powszechny zgodny entuzjazm!

I to nie tylko w Radzie Miejskiej.

We wszystkich instytucjach i organizacjach. Wszelkie protesty i zdania samodzielne są uważane za nieprzyzwoity wybrzyk, za schocking! A gdy mówca się nie cofnie przed pomrukiem zgromadzenia, może nawet zostać zmuszonym do milczenia przez ogólny hałas. Tak się np. stało na zebraniu T-wa Przyjaciół Nauk, gdzie jeden z mówców musiał przerwać swe przemówienie, gdyż na sali wszczął się tumult. I gdybyż to był przynajmniej jakiś postępowiec czy przewrotowiec! Gdzie tam! Przeciwnie—człowiek,

„Wolimy, powiada p. L. A., urzędowy „Wil. Wiestnik“ z jego brutalną propagandą antipolską, „niż demokratyczną „Wiecz. Gazietę“ w sposób „pokojowy, w imię ideałów wolnościowych torującą drogę rusyfikacji ludności miejscowej. Jedno „jest narzucone z góry, drugie jest wytworem „społecznym, pierwsze jest cynicznie otwarte, „drugie podstępne i bałamutne“.

Zdaje mi się, że p. L. A. nie ma tu całkowicie racji. Przedewszystkiem jest pewna nieściśłość w zestawieniu powyższego ustępu, w którym p. L. A. stwierdza, że „Wiecz. Gazietę“ jest „wytworem społecznym“, z innym ustępem tegoż artykułu, w którym p. L. A., motywując szczególną szkodliwość tego pisma, powiada tak: „Wiecz. Gazietę“, uobywatelniając niejako napływowy element rosyjski, wprowadza nowy czynnik do układu narodowościowego na Litwie i Białejrusi i „powoduje jeszcze większą gmatwaninę w stosunkach i pojęciach“.

Albo gazeta ta i kierunek, przez nią wyrażany, jest istotnie wytworem społecznym, to znaczy zjawiskiem naturalnym, które wolno oczywiście uważać za ujemny i przeciwdziałać mu, ale w takim razie nie gazeta uobywatelnia element rosyjski, nie ona jest sprawczynią tego faktu, bo sama jest dopiero wyrazem, wytworem odpowiednich stosunków. obecnych w życiu krajowym, albo jest ona rzeczywiście antreprezją sztuczną, jest sama, że tak powiem, inscenizatorką „uobywatelnienia“ rosyjan w kraju, a w takim razie nie jest „wytworem społecznym“, jeno takąż akcja, narzucona z góry czy przynajmniej z zewnątrz, jak „Wil. Wiestnik“, chociaż w innej szacie.

Wprawdzie od tego lub innego poglądu na samą istotę społeczną ruchu, reprezentowanego przez „Wieczern. Gazietę“, zależy w dużym stopniu jego ocena i jego żywotność, wszakże nie o to tylko chodzi.

Oczywiście szablonowo zjawisk żywych w społeczeństwie żywym oceniać nie należy. Sam fakt wystawienia hasła demokratycznego nie świadczy jeszcze bezwzględnie o pożyteczności jakiegoś

który zawsze niemal idzie z większością. Ale tym razem znalazł się w mniejszości i srodze został za to ukarany.

Co prawda na zebraniu tem panowało dziwne zamieszanie. Swój swego nie poznawał. Ks. poseł solidaryzował się z prezesem stowarzyszenia p. f. „Wiestnik Znanja“, żona nie zgadzała się z mężem, lord-major spotkał się z opozycją ze strony swego zastępcy. Słowem pojęciowa wieża Babel. Poszło zaś, jak zwykle, o szczegóły, mianowicie, czy może ktoś zostać członkiem honorowym T-wa, (który to tytuł przysługuje ludziom zasłużonym w nauce), jeżeli nie posiada po temu odpowiednich kwalifikacji, a mimo to nie chce poprzestać na tytule członka-protektora?

Większość znajdowała, że zasady powinny ustać wobec korzyści realnych (ofiarowania wzajemnych zbiorów), prezes stowarzyszenia p. f. „Wiestnik Znanja“ wygłosił nawet zdanie, że poglądy przeciwnie są głosem demosu, za co spotkały go rzęsiste oklaski, mniejszość natomiast stała uparcie przy swym, powtarzając jako leitmotiv: *timeo Danaos et dona ferentes*. W rezultacie zakrzyczano zbyt krewkiego wyraziciela opinii mniejszości i... uspokojono

ruchu. Pożyteczność czy szkodliwość jego musi być wywnioskowana nie tylko z tego, że tak powiem, sztandaru, lecz też i przedewszystkiem z rozważenia stanowiska jego i oddziaływania w konkretnych warunkach miejsca i czasu, to znaczy w warunkach społecznych i kulturalnych w danej chwili dziejowej. Z tego też punktu postaramy się kwestję rozważyć.

Bardzo słusznie zauważył p. L. A., że ruch czy kierunek, reprezentowany przez wileńską „Wieczernią Gazietę“, jest zjawiskiem w kraju naszym nowym. Istotnie mieliśmy i mamy od szeregu lat całe mnóstwo gazet i gazetek rosyjskich czy rosyjsko-żydowskich „postępowych“. Rosną one, jak grzyby po deszczu, nie tylko w większych miastach jak Wilno, Kowno, Mińsk, Witebsk, Mohylów, Dyneburg, ale też w całym szeregu miasteczek i miasteczek takich, jak Lepel, Bobrujsk, Horel i t. p. Zważywszy na ilość i płodność tej bibuły dziennikarskiej, stanowiącej prasę „rosyjską postępową“, zdawałoby się, że istotnie element rosyjski w Litwie i Białej Rusi stanowi siłę poważną, znacząco przerastającą siłę kulturalną Polaków, których cała prasa ześrodkowana jest wyłącznie w jednym Wilnie, oraz Litwinów ani tembardziej oczywiście Białorusinów. Nawet właściwa prasa narodowa żydowska ginie w tej powodzi piśmienniczej rosyjskiej.

Cechą wspólną wszystkich tych piśmienniczych „postępu“ jest szablonowość i ogólnikowość wyrażanego w nich „postępu“. Sprzyjają one zasadom równouprawnienia, komentują zjawiska polityczne przez pryzmat ogólnopolskich tendencji postępowych, nowego dają — mało albo nic zgoła. Nie wyrażają jakichś określonych konkretnie postulatów ludności miejscowej, nie odtwarzają życia i kultury swoistej kraju, nie biorą udziału czynnego w wytworzeniu form i kierunków rozwoju społeczności krajowej. Co najwyżej, poza ogólnopolskim szablonowym postępowaniem, odtwarzają życie i prąd tej miejscowości, w której wychodzą, oraz dają kilka korespondencji informacyjnych z najbliższej okolicy. Są one zresztą przeważnie pozbawione wszelkich

cech idejowych i albo są przedsięwzięciem spekulacyjnym albo też służą jakiejś koterji lokalnej.

To też cała ta prasa „rosyjska postępową“ jest przeważnie dla kraju obca i do wywarcia wpływów głębszych niezdolna. Co najwyżej działa ona niwelująco na masę półinteligentną żydowską, bo jeżeli chodzi o właściwą inteligencję żydowską, to ta nie z tych piśmienniczych, lecz wprost z wielkiej prasy petersburskiej i moskiewskiej wchłania elementy rosyjskiej kultury i określa swoje aspiracje polityczne. To też piśmienniczka ta, bez względu na ich ilość i płodność, nie mogą iść w porównanie ani z prasą polską, ani litewską, ani narodową żydowską, ani nawet ubogą białoruską, które w stosunkach krajowych grają rolę czynną i tworczą.

Zgoła inaczej wygląda wileńska „Wieczernia Gazeta“, piśmiennicza, jak zaznaczył p. L. A., — krajowa. Jest ona w kraju naszym pierwszym bodaj i jedynym wyrazem prasy postępowej w języku rosyjskim, która zrywa z martwym szablonem ogólnopolskim i dąży do zajęcia określonego stanowiska w układzie stosunków krajowych, pojmując ich żywą osobowość.

Owóż nie należy zapominać, że w kraju naszym, zwłaszcza na Białej Rusi, oprócz elementów rosyjskich napływowych, z gruntu społeczeństwu miejscowemu obcych, najczęściej mu wrogich i pełnych dlań pogardy a zapatrzonych we wzory „kultury“ z nad Newy lub Moskwy, co się stosuje nie tylko do jawnych prawników i nacjonalistów, ale i do wielu t. zw. „liberałów“, którzy, będąc czerwonymi w ojczyźnie, stają się gorliwymi krzewicielami idei państwowej na przeklętych „kresach“, — są też całe masy ludności inteligentnej i półinteligentnej pochodzenia miejscowego, białoruskiego, używającego języka rosyjskiego i mniej lub więcej zasymilowanej przez kulturę rosyjską. Takim jest przeważnie mieszczaństwo prawosławne Białej Rusi wschodniej, do takich należy dotąd większość jednostek, które wyszły z ludu, z białorusinów prawosławnych, wreszcie tłum drobnych urzędników, pracowników biur i kancelarii.

Masa ta dotąd była bierna i bezbarwna, nie czuła na troski krajowe, na związki krwi i kultury, które ją w założeniu z tym krajem łączyły. Wchłaniała w siebie elementy napływowe, upodabniała się Rosjanom, zachowując wszakże nieświadomie w głębi swojej pokrewieństwo z ludem miejscowym i stare pierwiastki rodzimego ducha w swej umysłowości i charakterze. Ich stanowisko, sposób zarobkowania, otoczenie, szkoła, a na dewszystko religja — pchały ich w kierunku rusyfikacji.

Przy powszechnym prawie letargu społeczeństwa krajowego, pod straszliwym uciskiem praw wyjątkowych, które tamowały wszelki społeczny, ruch krajowy, gdy kultura polska była w kraju tym ograniczona wyłącznie do kościoła katolickiego i domowego użytku w rodzinach polskich, gdy nawet teatru i słowa drukowanego lub głoszonego publicznie polskiego nie było, bo to było za zbrodnie uznane i zakazane, gdy ruch litewski, bardzo zresztą daleki dla tej rzeszy rosyjsko-białoruskiej, publicznie się ujawniać nie mógł i dopiero się przemycił zza granicy, żłobiąc pierwsze zarysy późniejszego rozkwitu swego, gdy ruchu białoruskiego nie było jeszcze wcale poza jakąś niele-

galną a odosobnioną garstką „Białoruskiej Socjalistycznej Hromady“. nie było żadnych elementów wewnętrznych, krajowych, które mogłyby na tę masę rosyjsko-białoruską oddziaływać, wyrwać ją z łożyska postępującej rusyfikacji, obudzić zmysł krajowy i pchnąć na inne tory bytowania kulturalnego.

Dziś, choć ucisk nie ustał, choć system praw wyjątkowych trwa jeszcze i na długo zapewne kraj nasz, we władaniu swem mieć będzie, dużo się jednak w wewnętrznym układzie naszego społeczeństwa zmieniło. Ruch społeczny, kulturalny i narodowy staje się coraz bardziej intensywny, społeczeństwo się organizuje i dojrzewa szybko. Z roku na rok życie krajowe się coraz bardziej komplikuje i staje barwniejszem, twórczem, pełnem wyrazistości i energii.

Pod wpływem tego ruchu, tej powstającej woli, tej energii twórczej, która zewsząd bije i uwydatnia życie i kulturę naszego kraju, zaczynają się zwolna budzić nawet te żywioły rosyjsko-białoruskie, których związek z krajem był najłabszy, najbardziej zatopiony przez napływowe elementy rusyfikacji. Odzyskują one związki z krajem, z podłożem rodzinnem; zaczyna w nich świtać świadomość rzeczy dawno zapomnianej, która jednak przetrwała w pozaświadomych elementach ich psychiki. Rzecz bliska, kraj własny, zaczyna się w nich budzić; spostrzegają dokoła siebie ruch, życie, kulturę, twórczość, której nie znali, zapatrzeni w centrum potęgi państwowej, stamtąd tylko czyn widzący w suchych formułkach urzędowych. Widzieć i rozumieć zaczynają, że formuła urzędowa, mechaniczna, że „kultura“ zdaleka idąca i tak bardzo różna od kultury krajowej, — jest czemś, co w życiu twórczej roli nie odegra. To też się bliżej życia krajowemu przyglądają i ulegać zaczynają urokowi jego.

Jest to istotnie prąd do ukrajowienia się, prąd, który w rozwoju swym tamę położyć może głębszą rusyfikacji tych elementów. O ile są one postępowe, chcą one zmienić, przekształcić radykalnie swój „postęp“ szablonowy, frazesowy, ten właśnie „z nad Newy“ czy z obszarów wielko-rosyjskich mechanicznie im zaszczerpiony i mający wyraz w całej masie pisemek, na postęp taki, który jest zastosowany do stosunków i potrzeb krajowych, a przeto jest żywy i może być istotnie czynny, nie zaś tylko świecić próchnem frazesu.

Wyrazem tego prądu, tego, powiedziałbym, świtania raczej — jest, jak mi się zdaje, „Wieczernia Gazieta“. Że pismo to powstało w Wilnie, że tu właśnie ten prąd czy kierunek nowy się narodził i ujawnił, tu, gdzie elementu tego, rosyjsko-białoruskiego, jest najmniej w porównaniu do miast wschodniej Białejrusi, to, zdaje mi się, daje się wytłómaczyć tem, że tu elementy tej najżywiej odczuwać muszą ruch życia krajowego, bo tu jest on najsilniejszy, a jednocześnie one same są najmniej skondensowane. Tu zapewne prąd ten, w „Wiecz. Gazecie“ wyrażony, znaleźć może największy oddźwięk i poparcie wśród tego elementu. Że z prądem tym się zespalają pewne, nieliczne zresztą, elementy rdzennie rosyjskie, które wyczuwają też może jałowość stanowiska „postępu wszechpaństwowego“ w tym kraju, — to jeszcze samo przez się świadczyć przeciwko niemu nie może. Poza tem prąd taki może oddziaływać dodatnio i na czytającą po rosyjsku masę żydowską, która, nieste-

ty, bardzo daleko jest dziś jeszcze od świadomego związku z krajem, w którym mieszka.

To też, zdaje mi się, że zasadniczo prąd ten czy kierunek nie może być uznany za zły i szkodliwy dla kraju i kultury jego. Zestawiać go należy nie z „Wilenskim Wiestnikiem“, który jest wyrazem całkiem obcych dążeń, ale raczej z innym równoległym prądem, który z tychże, co „Wieczernia Gazieta“ sfer i elementów wychodzi, ale jest zwrócony w kierunku wręcz przeciwnym, mianowicie z prądem, reprezentowanym przez pp. Sołonieiczów i Kowaluków, opierającym się na białorusinach zrusyfikowanych i dążącym do całkowitego zasymilowania Białejrusi prawosławnej a operującym demagogją najlichszego gatunku.

Inną rzeczą jest zasada, istota prądu, reprezentowanego przez „Wieczern. Gazieta“, inną zaś jest kwestja wykonanie tej zasady w piśmie. Zdaje mi się, że poddając najsurowszej rzeczowej krytyce wykonania zasady w „Wieczerniej Gazecie“, nie należy potępiać samego prądu, który się w niej wyraża. Wykonanie może szwankować, bo sam prąd jest bardzo świeży i jeszcze się może nie ułożył całkowicie, nie znalazł zupełnej należytej formy i dokładnych stanowisk w wielu kwestiach, ale sam przez się nie zasługuje na tę ostrą ocenę, jaką mu dał p. L. A.

M. R.

\* \* \*

Przedewszystkiem wymaga wyjaśnienia kwestja, poruszona na wstępie artykułu p. M. R. Nie ma żadnej sprzeczności między obu przytoczonymi ustępami. „Wiecz. Gazieta“ może być wytworem społecznym, placówką, nie narzuconą z góry, lecz powstającą samorzutnie na skutek wzrostu żywiołu rosyjskiego w naszym kraju, a jednocześnie przedsięwzięciem tendencyjnym, mającem na celu sankcję i utrwalenie zasady rosyjskiego obywatelstwa krajowego — pojęcia dziwaczного, wpływającego z anormalnych stosunków politycznych.

Wszelka myśl społeczno-polityczna nie jest ideją oderwaną, lecz produktem danego środowiska i warunków czasu, mimo to jedaak mówimy o wpływie jej na kształtowanie się życia tak, jakby ona była dźwignią zzewnątrz. Roztrząsania akademickie wszakże na temat powyższy, chociaż niewątpliwie ciekawe i pouczające, zaprowadziły by nas zbyt daleko. Wróćmy do „Wiecz. Gaziety“.

Zestawienie jej z „Wil. Wiestnikiem“ miało na celu zaznaczenie, że pierwsza jest wydawnictwem nie urzędowym, powołaniem do życia z inicjatywy prywatnej, gdy drugi jest organem, funkcjonującym z woli administracji. Wspomniana przez p. M. R. „Siew. Zap. Żiźń“, kierunkiem swym nie różniąc się od „Wil. Wiestnika“, również jak „Wiecz. Gazieta“ jest przedsięwzięciem prywatnym; czyż na tej podstawie można uważać organ p. Sołonieiczwa za zjawisko naturalne, za wyraz istotnych czynników rozwojowych kraju? Warunki nienormalne wytwarzają sztuczne narośle, które z pozorów czynią wrażenie niezbędnych składowych części organizmu, w rzeczywistości zaś znikają bez śladu niemal, gdy organizm zaczyna znów funkcjonować prawidłowo.

Zarzuciliśmy „Wiecz. Gazecie“ bałamuctwo i brak konsekwencji. Przytoczone przez p. M. R. motywy bynajmniej nie obalają powyższego poglą-

du. Istotnie istnieje w naszym kraju spora armja półinteligencji, rekrutująca się z ludu białoruskiego, a ulegająca wpływowi kultury wielkorosyjskiej. Z wszelkimi prawdopodobieństwem należy przypuszczać, że element ten na zawsze jest stracony dla sprawy białoruskiej. Żadne wysiłki nie zdołają zepchnąć mas z wyższego szczebla kulturalnego na niższy. Może to się udać tylko z jednostkami. Mamy wszakże wymowne przykłady daremnej syzyfowej pracy odpolszczania spolonizowanych litwinów.

Przypuśćmy jednak, że idea narodowa białoruska jest tak potężna, tak żywiołowa, że porwać jest zdolna za sobą tłumy, czyż może być jej wyrazieliwą gazetą z ducha i języka rosyjska?

Teoretyczne wywody od czasu do czasu na temat praw ludu białoruskiego do życia samodzielnego lub odrębności tego kraju pozostaną martwą literą, gdy tuż obok cały materiał informacyjny i publicystyczny skierowuje umysł czytelnika w stronę Petersburga lub Moskwy. W najlepszym razie zaszczepi się temu czytelnikowi pewien separatyzm prowincjonalny, którym niekiedy i p. Sołowiecz się popisuje, lecz nigdy poczucie odrębności narodowej. Wpływ kultury rosyjskiej przez to nie zmaleje.

Żaden ruch żywiołowy nie potrzebuje krętych dróg, szczególnie w swem zaraniu, gdy pierwiastki idejowe w nim przeważają. Jeżeli ruch narodowy białoruski ma przed sobą przyszłość, to musi ją wywalczyć przebojem, rzucając swe hasła w dusze młode, zapalne, zdolne do wielkich uniesień i ukochań. Tak się budziły do życia wszystkie młode narody, pod wpływem gorącej propagandy wierzących w tryumfswę ideę patryjotów. Szukanie nowych sposobów, tchnących wallenrodymem, świadczą o poczuciu niemocy lub o zaniku pierwiastków idejowych.

Gdy ruch litewski zбочzył na manowce nacjonalistyczne, powołał do życia dziwaczny twór, pismo w języku polskim, mające szerzyć uświadczenie narodowe litewskie wśród społeczeństwa polskiego. Jakież są rezultaty paroletniej egzystencji „Litwy“?

Zaostrzenie antagonizmu polsko-litewskiego i zdobycie paru grafomanów, którzy nie mogli znaleźć dla siebie miejsca w piśmiennictwie polskim. Oto cały plon nowoczesnych Machiawelów z pod znaku ks. Propolanisa. Ale „Litwa“ powstała wówczas, gdy już ruch litewski rozlał się szeroko i utrwalił podstawy swego rozwoju. Żadnemu działaczowi litewskiemu nie przyszło do głowy w początkowym stadium odrodzenia narodowego szukać podobnych dróg do krzewienia swej idei.

Jeżeli więc intencje założycieli i kierowników „Wiecz. Gaziety“ są szczerze, to należy stwierdzić, że nie dorosli oni jeszcze do swej roli pionierów młodego ruchu narodowego, jeżeli zaś stanowisko obrońców ludu białoruskiego jest tylko pretekstem do występowania w charakterze rzeczników interesów demokracji krajowej, to maskarada taka wymaga publicznego ujawnienia. Łatwiej bowiem odpiąć zakusy rusefikacyjne szczerze niż podstępne.

A że nie chodzi „Wiecz. Gazieta“ o tych rusefikujących się prawosławnych białorusinów, których ma na myśli p. M. R., tego dowodzi fakt wydawania jej w Wilnie, gdzie ludność, poza żywiołem napływowym rosyjskim i żydami jest wy-

łącznie katolicką i polską. Nie miejsce druku gra tu rolę, lecz teren rozpowszechnienia.

W Wilnie również jest drukowaną większość pism litewskich, rynek zbytu ich jest jednak w granicach Litwy etnograficznej. „Wiecz. Gazieta“ natomiast w nieznacznej ilości rozchodzi się na prowincji. Przystosowana jest celowo do potrzeb mieszkańca Wilna. Tu w Wilnie też, cały niemal nakład jej znajduje konsumentów, których niemały procent stanowią czytelnicy polscy, a zwłaszcza tłum „tutejszy“, o słabem uświadczeniu narodowym. Tłum ten właśnie jest głównym objektem oddziaływania „Wiecz. Gaziety“. I w tem tkwi szkodliwość jej bezpośrednia.

Pośrednią zaś szkodę wyrządza szerząc bałmutną teorię możliwości uobywatelnienia żywiołu rosyjskiego w naszym kraju, co stanowi wysoce niebezpieczną inowację.

L. A.

## Projekt hipoteczny.

Myśl wprowadzenia hipoteki w państwie Rosyjskiem nie jest nowa. Od lat 50-tych różne komisje zbierały w tym celu niezbędne materiały i tworzyły mniej lub więcej udatne projekty, dotychczas jednak nie przybrały one kształtów konkretnych.

Są różne zaprojektowania—szczęśliwe i mniej szczęśliwe. Jedne urzeczywistniają się niby za skinieniem laski czarodziejskiej, np. projekt wyodrębnienia Chełmszczyzny, projekt ziemstw na Rusi; drugie rodzą się niby z kamienia—np. projekt ustawy karnej po ciężkich narodzinach (w r. 1903) o dziś dnia nie wszedł w całości w życie. Projekt ustawy hipotecznej ma już swoją półwiekową historję, lecz wciąż pozostaje projektem. Całe pole stosunków majątkowych—sprzedaż, kupno, odłożenie—powstaje w warunkach nienormalnych i nieprzystosowanych do tętna życia społecznego.

Kiedy Królestwo Polskie od lat stu blisko (r. 1818) posiada doskonały ustrój hipoteczny, kraj nasz, dzieląc los gubernji wewnętrznych państwa, pozbawiony jest tego ustroju.

Największymi wadami obecnego prawodawstwa pod tym względem są: 1) brak rejestracji odpowiedniej i 2) brak jawności transakcji zawieranych. Ogłoszenia w „wiadomościach senackich“ chybają celu, jak również chybają go i rejestry notarialne, prowadzone w sposób zgoła kancelaryjny. Przy obecnym stanie rzeczy choćby najmniejszy akt kupna lub zastawu przepisany jest kilka razy, kosztuje drogo, wędruje do kancelarji notarialnej długo, tam zaś leży całymi miesiącami.

Obecnie *Ministerjum Sprawiedliwości* opracowało projekt ustawy hipotecznej, która obejmie i nasz kraj. Ustawa ta (*Wotczinnyj ustaw*) wkrótce ma być wniesiona na rozpatrzenie Izb prawodawczych. Zadaniem hipoteki jest danie możności wierzycielowi jaknajskuteczniejszego sposobu zabezpieczenia się na majątku dłużnika, oraz kupno i sprzedaż nieruchomości bez obawy unieważnienia aktu i niespodzianek wszelakich. Hipoteka przeto winna być lustrem, w którym z całą dokła-

dnością odbijał by się *stan prawny* majątku—tytuł własności, stan odciążenia i obciążenia. Czynniki niezbędnymi takiego stanu rzeczy muszą być: 1) jawność i 2) rękojmią wiary publicznej. Jeżeli na majątku mogą być pewne ciężary lub zobowiązania nie ujawnione (t. zw. tajne) wówczas system hipoteczny jest wadliwy.

Projekt ministerjalny w części swej ogólnej zapewnia, iż stoi na gruncie: jawności, rękojmi hipotecznej, szczególności i pierwszeństwa (*prior inscriptione potior jure*).

Treść ksiąg hipotecznych uznana jest za „jawną“ i wszystko co wpisane ma moc obowiązującą i nie podlegającą przedawnieniu.

Tytuł własności na nieruchomości w wszystkich wypadkach dobrowolnej sprzedaży uprawnia się przez wpisanie nowonabywcy do księgi hipotecznej (*wotczinnaja kniga*).

Nabycie atoli majątku drogą bądź spadku, bądź licytacji, zgodnie z projektem, nie wymaga zapisu do księgi hipotecznej, co paczy ogromnie zasadę jawności. Dotyczy to również serwitutów i ciężarów, z prawa wypływających, które obowiązują każdego właściciela i osoby trzeciej, pomimo zapisu do ksiąg, oraz korzystają z przywileju pierwszeństwa.

Jeszcze większą gmatwaninę wnoszą przepisy o „*aktach zastawniczych*“, które zezwalają na obciążanie nieruchomości długami z pomocą owych aktów i są zgola zbyt technicznymi i szkodliwymi, utrudniając cesję.

Inowacją pożyteczną jest natomiast przepis, wprowadzający zasadę, iż dłużnik odpowiada nie tylko majątkiem, hipoteką obciążonym, lecz całym swym mieniem.

Rzecz prosta, iż w artykule niniejszym trudno wskazać wszystkie wady rozpatrywanego projektu.

Nie kusimy się też o to. Pragniemy zwrócić uwagę społeczeństwa naszego na ważność projektowanej reformy. Rozdrabnianie się większej własności ziemskiej w kraju naszym postępuje dość szybkim krokiem; powstaje drobna własność prywatna. Dla tej to własności ustrój hipoteczny jest niezbędnym warunkiem egzystencji, ponieważ nie tylko ułatwi proces nabywania ziemi, lecz ułatwi również kredyt długoterminowy, bez którego w większości wypadków, nie ma ona możliwości istnienia.

F.

## Zgnilizna.

Lwów, w listopadzie.

Określając Demokrację Narodową, ktoś trafnie się kiedyś wyraził, że jest to partja nie tyle zasad, ile posad.

Jeśli w Królestwie, a tem bardziej w Poznaniu można mieć co do tego jeszcze pewne wątpliwości, to łatwo ich się pozbyć na gruncie galicyjskim. Przeniósłszy się z Warszawy do Lwowa, Dem. Narodowa postradała nie tylko swą dawną rewolucyjność, lecz wogóle wszystkie resztki idejowości. Stała się poprostu kliką, łakomą na stanowiska publiczne i walczącą o nie bez przebierania w środkach.

Początkowo dążenie do owych stanowisk usiłowano osłaniać troską o dobro narodu; szło niby o „wymianę mózgow“, o wysunięcie na czoło społeczeństwa nowych, młodych sił, nie tylko rozumiejących nowoczesne wymagania życia, ale umiejących działać solidarnie w ściśle określonym kierunku i nie zrażając się konieczniami na dziś odstępstwami. Nawet w szeregach partji były (i są może dotąd) jednostki, co uczciwie w niezbędność onej „wymiany“ wierzyły. Obecnie jednak większość tych ludzi od stronnictwa odpadła.

Ludzię się bowiem trudno, że niepostrzeżenie prywatnie i karierą wzięły w stronnictwie górę nad abstrakcjami i dążeniami idejowymi. Droga realizowania „programu na dziś“ — okazała się zbyt śliska. Po twórcach partji, ludziach przeważnie czystych i mocnych, wyrosłych w ogniu walk podziemnych, warszawskich, przyszła falanga karierowiczów, wyhodowanych na swobodzie galicyjskiej.

Udzieliwszy sobie raz dyspensy na oportunizm i mając przed oczyma jeden tylko cel: stanowiska dla „swoich“ ludzi — rozpoczęto akcję, nie znającą żadnych granic sumiennosci. Sprytnie przystosowywanie się do warunków chwili i miejsca pozwalało endecji równocześnie walczyć i kokietować ze wszystkimi niemal żywiołami: tu z klerem, tam ze szlachtą, owdzie z postępowcami, a gdzie indziej przyjaźnić się nawet — z kahałem.

Ta płatanina kierunków faktycznych, nie pozwalająca na wysuwanie żadnego ogólnego standardu, odebrała wkrótce wszelką możność idejowego walczenia zasadami. Nie pozostało nic, jak tylko godzić w jednostki, w osobistości.

Rozpoczęła się więc kampanja bezprzykładnych oszczerstw i napaści na każdego, kto się stronnictwu niebezpiecznym lub niedogodnym wydaje.

Obrana metoda, polegająca na wytrwałym, bezustannym szczuciu, na rozpowszechnianiu zapomocą prasy najrozmaitszych szkodliwych dla wroga legiend, na urabianiu jaknajpodlejszej opinji, a wreszcie utrudnianiu mu pracy przez rzucanie pod nogi kamieni i kamyków — skuteczność swą okazała już w walce Nar. Demokracji z namiestnikiem Bobrzyńskim.

Dalecy jesteście od idealizowania p. Bobrzyńskiego — stańczyka, klerykała — lecz nikt zaprzeczyć nie może, iż jest to człowiek nieskazitelnej uczciwości i dużego rozumu. Ale dla Dem. Narodowej był on niewygodny: 1) dążył do zgody z rusinami, gdy właśnie partja ta niezgodą z nimi żyje; 2) w sferze urzędniczej porozbijał klikę endeckie, które zdążyły się już były potworzyć — zwłaszcza w sądownictwie.

To były dwa główne kamienie obrazy. Skorzystano tedy ze sposobności — z namiestnikowskiego (t. zw. blokowego) projektu reformy wyborczej i postarano się uczynić wszystko, by ją obalić. Gdy nie udało się przeciągnąć na swoją stronę opinji publicznej, postanowiono zdobyć bodaj kilku, ale zato bardzo wpływowych ludzi. Wyjednano protest biskupów.

Tu Bobrzyńskiemu — wiernemu synowi kościoła — ręce opadły.

Ustąpił, choć nikt chyba nie miał wątpliwości, że obaliła go niecna intryga, w której nie było ani źdźbła myśli o dobru publicznym. Wszyscy wiedzieli, że rozbięcie układów z rusinami polakom przyniesie szkodę; że każdy następny projekt re-

formy będzie dla nas gorszy, bo siła, znaczenie i pretensje rusinów z każdym rokiem wzrastają. Prasa stronnictw „blokowych“ wykazywała to jasno, ostrzegała.

Dziś okazuje się, jak przewidywania te były słuszne.

Rusini nie tylko żądają obecnie większych, niż przedtem ustępstw, ale walkę przenieśli do Wiednia, by wywołać interwencję władz centralnych, gdzie mają licznych sojuszników. Nie wykluczone też jest narzucenie nam przez Wiedeń reformy, która mieć będzie na oku nie drażnienie ukraińców, ile że w danej chwili monarchja Habsburska wielce się z nimi rachuje. Pogłoski o zawieszeniu w Galicji konstytucji to groźba zupełnie realna. A zawieszenie konstytucji nam przedewszystkiem dałoby się we znaki, jako głównym gospodarzom kraju.

A co na to polacy?

Oto dowiadujemy się, że episkopat gotów jest cofnąć swe *veto*, byle tylko reforma nie szła dalej niż ją projektował Bobrzyński.

Taki obrót rzeczy byłby dla każdego stronnictwa politycznego ostateczną kompromitacją. Nie będzie nią jednak zgoła dla endecji. Jej przecież o nic innego nie szło, jak tylko o wygryzienie Bobrzyńskiego. To jej się powiodło; jest zadowolona; *pracuje* dalej.

„Pracę“ tę skierowała oddawna przeciw Stapińskiemu. Wódz stronnictwa ludowego jest jej nie na rękę. Pod jego buławą ludowcy stali się najpotężniejszą w kraju partją. Że zaś ich punkt oparcia jest w zachodniej części kraju, gdzie jednolity skład narodowościowy nie daje sposobności do antagonizmów nacjonalistycznych, więc okazują dużą skłonność do zgodnego z rusinami spółzycia. Nadto ludowcy posiadają konsekwentny program ekonomiczno-społeczny. Program ten o tyle jest umiarkowany, że szlachta-zachodnio-galicyjaska, na niewielkich stosunkowo osiadła majątkach, kompromisy uważa za możliwe. Na gruncie jednak wschodnio-galicyjaskim, gdzie potomkowie dawnych „królewiat“ olbrzymie posiadają latifundja, tenże program wydaje się nadzwyczaj radykalnym i godzącym w t. zw. „polski stan posiadania“.

Ten to wzgląd nadaje walce Nar. Demokracji z ludowcami pewną cechę idejowości. Jedyną zresztą — no i nie bardzo licującą ze stanowiskiem demokratycznym.

Ale tego od endecji nikt już nie wymaga. Ta część szyldu przestała ją dawno obowiązywać.

Gorsze jest to, że zawiść, która prówodyrów stronnictwa przedewszystkiem uzbraja przeciw Stapińskiemu, pozwala im używać najniecieńszej broni. W napaściach na wodza ludowców darmo szukamy jakichkolwiek argumentów zasadniczych. Nic — tylko kalumnje i oszczerstwa, coraz nowe, coraz bardziej kompromitujące.

Mamy wrażenie jakby wypuszczono przeciw niemu całą sforę pismaków, którzy nic innego nie mają do roboty, jak tylko myśleć, co za grzechy jeszcze wytknąć Stapińskiemu. Głupstwo, że większość zarzutów okazuje się kłamliwa. Zanim osaczony zdoła to ujawnić, już nań rzucono sto nowych oszczerstw.

Kampanję tę prowadzi się od szeregu miesięcy z wytrwałością i systematycznością, do jakiej zdolna jest tylko zawzięta mściwość natur małych, nikiemnych. Przed tym gradem drobnych kamy-

ków i wielkich\* głazów, któremi Nar. Demokracja obrzuca nieustannie Stapińskiego, Herkules by się nie obronił.

To też, choć zadanie to trudniejsze, niż było z Bobrzyńskim, szans powodzenia nie jest pozbawione. \*)

W nadziei, że ostatecznie uda się Stapińskiego podkopać, endecja szykuje się do wzięcia po nim spadku, a więc, równocześnie z kampanją oszczerstw osobistych, szuka sposobu na rozbięcie stronnictwa ludowego i przeciągnięcia jego części pod swoją komendę. Ponieważ zaś szczucie rusinów na nic tu się nie zdało, podniesiono więc hasła antysemickie. I choć jeszcze do niedawna kokietowało się kahały (gniazda najwstrętniejszego wstecznicstwa) i w statystykach antyrusińskich pamiętało się o „polakach wyznania mojżeszowego“ — dziś raptem wypowiada się bezwzględna walkę tym jedynym w zachodniej części kraju obcoplemieńcom.

Jakkolwiek ludowcy bynajmniej filosemitami nie są, lecz hasła żydożerczych na plan pierwszy nie wysuwają. W tym więc kierunku łatwo ich zdystansować, no i rozbić przy stosownej okazji.

Taki jest obecnie plan. Jeśli się powiedzie, Nar.-Demokracja, łącznie z byłymi stojałowczykami, znakomicie wzmocni swe siły i będzie mogła znów usadowić jakiegoś nowego Głabińskiego na fotelu ministerjalnym, a mniejsze figurki po kancelariach wydziału krajowego.

W robocie tej pomaga jej niemal cała prasa polska. Nie dlatego, by składała się z organów stronnictwa. Kieruje nią w tym wypadku jedynie bezmyślność.

Trafnie dobierany kottuński ton wszelkich rewelacji endeckich jest dla naszego dziennikarskiego pospólstwa lepem najpewniejszym. To też każda informacja „Słowa Polskiego“ powtarzana bywa tysiącrotnie, nawet przez pisma, które wcale nie chciałyby oddawać przysługi planom macherów lwowskich.

Prowadzona przez nich kampanja sensacyjnych oszczerstw wymierzona jest zresztą nie tylko przeciw tej lub owej osobistości. Nie! Jest to stała, jedyna metoda.

Niedawno np. „Słowo Polskie“ rozpowszechniło wiadomość o wynajmowaniu bandytów przez P. P. S. do wykonywania eksproprowacji. Informacja miała tak dalece wszelkie pozory prawdy; że powtórzyły ją nawet organy, wrogie endecji, wyrażając równocześnie żal, iż P.P.S. stronnictwo idejowe, takich brzydkich ima się praktyk. Teraz dopiero wychodzi na jaw, że wiadomość była od początku do końca zmyślona.

Tak wojują rzekomi sukcesorowie sztandaru Popławskich i Potockich.

Zgnilizna...

Wester.

\*) Telegramy doniosły, że Stapiński zrezygnował ze stanowiska wice-prezesa Koła Polskiego i prezesa Klubu ludowego. Rezygnacja ta pozostaje w związku z naganką endecką.



## O kształceniu politycznym „Obywatela“.

Wiele mówi się u nas w ostatnich czasach o orientacji i dezorientacji politycznej. Na temat ten nie tylko w tej chwili aktualny, dla nas ze wszystkich najwięcej i zawsze aktualny wypisuje się całe kałamarze. Każda orientacja znajduje zwolenników. Znajduje ich wszędzie, nie tylko u nas. I w krajach szczęśliwszych opinia polityczna nie jest jednolita, nie jest bowiem jednolitym interes polityczny narodu społecznego na Zachodzie. Ale *caeteris paribus* w tych krajach dezorientacja nie jest tak zupełna jak u nas. Większą jest świadomość obywatelska, większe uświadomienie polityczne. Obywatele wiedzą więcej czego chcą, czego chcą powinni. Zdają sobie sprawę z interesu, który życiem ich rządzi. Mniej na ich postanowienia oddziałują przypadki, chwilowe powodzenie mówcy, artykuł dziennikarski; ma i tam powodzenie demagog—gdy w duchu tego interesu działa, dziennik gdy temu interesowi służy, temu bowiem interesowi byt swój zawdzięcza. Nasze organizacje polityczne są słabe i słabo w ogóle jesteśmy zorganizowani. Jądro organizacji jest niewielkie, otoczone armją t. z. sympatyków, do niczego nie zobowiązanych, wolnych, przechylających się to w jedną, to znowu w drugą stronę linii orientacyjnej. Tłum „sympatyków“ tego czy innego kierunku, wszędzie znaczny, u nas jest olbrzymi, zmienny w układzie swoim jak piasek nadmorski, co nocy pod wpływem wiatru zmieniający kontury, kierunek, grubość nasypu.

Co gorsza, badacz obiektywny odbiera wrażenie, jak gdybyśmy nie tylko tak politycznie żyli, ale i nie zdawali sobie z tych warunków dostatecznej sprawy. Dawniej składaliśmy winę na warunki zewnętrzne życia, na przeszkody cenzuralne. Zmieniły się trochę warunki, pisać można znacznie więcej. Czy wykorzystaliśmy tę zmienioną wielce sytuację jak na to zasługiwała? czy pracujemy nad *kształceniem obywateli*? Czy wykładamy z mównicy publicznych prawo polityczne w szerokim, dostępnym dla szeregi publiczności inteligentnej zarysie porównawczym? Czy pisujemy poważnie ze stanowiska interesu *obywatelskiego* w materiałach politycznych? Czy ujmujemy dzieśiatki zagadnień politycznych, narzucanych nam władzą, mało i rzadko pytającą nas ręką Losu, jako takie właśnie zagadnienia obywatelskiego kształcenia, o wielkiej doniosłości pedagogicznej? „Obywatel“ nasz nie wychodzi wciąż jeszcze z dzieciennego pokoju albo z kawiarni, tu i tam polityczny jego pogląd na świat spoczywa w atmosferze naiwności albo... dymu. Niema w tem przesady tak wielkiej, jakby się wydawać mogło. Obywatel, zresztą, może tłumaczyć swoją ignorancję, swój brak zainteresowania, swoje lenistwo umysłowe — naszym do niego stosunkiem. *Nasz* to bowiem obowiązek jego uczyć i nasz to bowiem obowiązek, wyklądać, pisać, wciąż powtarzać te same nauki, metodycznie, historycznie i porównawczo, z ciągłą pamięcią o najbliższych nam interesach narodowych: politycznych i społecznych.

Niedawno, w ciągu miesięcy kilkunastu pu- szczono w świat trzy monografie poświęcone Maurycem Mochackiemu, osobie działacza i czasom jego. Każdy z autorów (A. Śliwiński, J. Kucharczyński, St. Szpotkański) traktował swój przedmiot

z odmiennego stanowiska. Poruszono przytem cały szereg pierwszorzędnej wagi problemów politycznych. Czy książki te wywołały żywsze poruszenie umysłów? Czy wywołały polemikę? Czytała i czyta te książki młodzież, głębiej odczuwająca powagę problemów naszego życia zbiorowego, reagująca na nie łzawym albo i rycerskim duchem serca, niekiedy i woli. Młodość nie zawsze posiada przygotowanie do prowadzenia dyskusji naukowej i nie posiada tego, doświadczenia życiowego, które do zasadniczej dyskusji wprowadza czynnik miary ludzkiej, miary czasu i przestrzeni. Nie dyskutowaliśmy na temat poruszonych w tych książkach problemów. Taka dyskusja nie była wywołana przez żadną ordynację wyborczą, nie rzadziło nią prawo popytu i podaży. Dopiero niebezpieczeństwo u progu chaty naszej — obawa, że wybory wypadną niepomyślnie, albo zewnętrzne wypadki, mające tak lub inaczej ukształtować losy nasze budzą nas na chwilę do żywszego czynu, każą na gwałt pisać, pouczać, oświecać. Robota to *ad usum delphini*; „sobotnim sztychem na niedzielny targ“ wykonana posiada znaczenie tylko aktualne i polityczne: chodzi o wnioski, o akt wyborczy. Gdy ten akt został już dokonany, gasną światła koło katedry: pisma polityczne *ad hoc* powołane do życia, zamierają, ustaje akcja odczytowa i „obywatel“ może znowu cofnąć się w zacisze analfabetyzmu politycznego.

Życie polityczne jakiegokolwiek bądź narodu poznać — trudna i ciężka to sprawa. A cóż dopiero życie tak bogate, skomplikowane i splecione, z przeciwieństwami i osobliwościami historycznie uzasadnionymi, początkiem swoim sięgającymi w odległej przeszłości, jak wielkie drzewo, korzeniami swoimi sięgające w głąb i wszcz, poprzez przeróżne warstwy geologiczne. Trzeba długo żyć w kraju takim, we Francji, w Anglii, w Niemczech, aby poznać i zrozumieć „zjawisko“ życia politycznego, ocenić jego znaczenie. Przygodny turysta zjawiska te postrzega, jak postrzegamy obrazy cieniowe w kinematografie: drażnią nasze oko, budzą w niem pewne wrażenia, które ledwie czas mając przeniknąć do naszej świadomości, ustępują miejsca innemu wrażeniu, które pierwsze goni. Turysta odbiera wieloliczne wrażenia polityczne, które postrzega, które jednak przebiegają koło niego z szybkością filmu kinematograficznego. Myśli jego nie zapładniają, nie krystalizują się jako pojęcia w głębi jego świadomości, aby w niej pozostać na zawsze jako zdobycze poznania. Jak w kinematografie „oko polityczne“ męczy się. Ale z życia, które nas otacza i bez udziału naszej woli tysiącami porów do świadomości naszej przenika, wyjść nie można jak z budy kinematografu. Myśl cudzoziemca radzi tedy sobie inaczej, odwołuje się do pomocy przewodników, pochłania wielkie szmaty zadrukowanej bibuły, dowierając jej producentom, ich kompetencji i powadze sądu. Postępowanie takie upraszcza, nie przeczymy, sytuację, w której znajduje się ciekawy cudzoziemiec, ale nie jest to droga bynajmniej, prowadząca do *poznania* życia politycznego.

Gazeta jest organem stronnictwa politycznego, powołanym do życia za środki i gwoli *interesowi* stronnictwa. Spółpracownicy tego organu służą określonymu *interesowi* stronnictwa. O *interes* ten chodzi, nie o poznanie prawdy. Dlatego cudzoziemiec, który się o tej względności intencji

i informacji dziennikarskich przekonał, radzi sobie w ten sposób, że kilka naraz pism czytuje. Ale wtedy dezorientacja jego staje się jeszcze większą. Komu wierzyć? Omylni są wszyscy, a *interes* wyczuć cudzoziemiec zrzadka tylko potrafi. Koniec tedy tych peregrynacji po zawrotnych drogach publicystyki obcokrajowej jest taki, że cudzoziemiec przypomina sobie dnia pewnego, że sam też jest „politykiem“, że należy organicznie do określonego stronnictwa politycznego, albo jest co najmniej luźnie *nicia sympatji* z niem związany. Odszukuje tedy w zbiorowisku stronnictw politycznych danego kraju ten specymen, który najwięcej własnym jego poglądom odpowiada, albo odpowiadać się wydaje i czyta organ tego stronnictwa. Jest to, nie przeczymy, metoda prosta i skuteczna, alić wiadomo, że te najprostsze niezawsze bywają najwłaściwszemi.

Bywają metody, jak owo cięcie chirurga, — *pewne, odważne i — śmiertelne*. Niema tu, oczywiście, niebezpieczeństwa tak wielkiego, jak to które grozi choremu pod nożem lekarza. Ale skutek jest nieco podobny w tym sensie, że ciekawy cudzoziemiec, postępując sposobem wskazanym, przysłania sobie możliwość poznania obiektywnego prawdy politycznej, prawdy w odniesieniu do ludzi, do instytucji, do myśli politycznej. Utraca tem skuteczniej, że podobieństwo pod względem stronnictw politycznych jest tylko pozorne, że stronnictwo polityczne jest również dziełem historii, że własną swoją posiada i historję i logikę i psychologję, które poznać i zrozumieć jest równie trudno, jak każde inne zjawisko życia politycznego, tem trudniej, że w danym wypadku cudzoziemiec do poznawania tych czynników życia stronnictwa wprowadza element osobistej sympatji.

Ludzie, długo zamieszkali w obcym kraju, o złożonym życiu politycznym, nieraz z uśmiechem odczytują w dziennikach polskich korespondencje polityczne młodocianych literatów, którzy po miesięcznym pobycie w Londynie czy w Paryżu informują czytelników polskich apodyktycznie i „nieomylnie“ o ludziach i instytucjach politycznych Anglii czy Francji. Oni z własnego doświadczenia wiedzą, ile czasu trzeba im było na zorjentowanie się w pogmatwanych liniach życia Zachodu, ile czasu stracili na wyostrenie krytyczne umysłu, potrzebne dla zrozumienia stopnia prawdziwości i szczerości tych czy innych enuncjacji publicystycznych. Wiedzą, że poglądy korespondentów są odbiciem a często i kalkomanją artykułów dziennikarskich z pod tego, czy innego znaku politycznego. I uśmiechają się. Informowanie czytelnika polskiego o procesie rozwojowym życia politycznego na Zachodzie nie jest bynajmniej rzeczą lekceważenia godną. Przeciwnie, uważamy je za obowiązek wagi pierwszorzędnej i równie odpowiedzialny, jak stanowisko naczelne w tym, czy innym organie publicystycznym. Związek nasz z myślą Zachodu zawsze był bliski i w interesie kultury naszej pożądać należy, ażeby był najbliższy, organicznie bliski. Dlatego korespondent londyński czy paryski poważnego dziennika polskiego musi być człowiekiem równie poważnym i odpowiedzialnym, jak redaktor czasopisma, do którego pisuje. Nie może i nie powinien to być przygodny turysta, który flanuje po bulwarach, po kawiarniach, po Vichy, Biarritz, czy Ostendzie, zbiera filmy kinematograficzne, zanurzając je w atmos-

ferze osobistych swoich tęsknot i pożądań. Korespondent musi być stały, człowiek dojrzały, doświadczony i od dłuższego czasu w Londynie, czy Paryżu zamieszkały. Tylko orjentując się, dzięki doświadczeniu i wyostrej obserwacji w złożonym życiu Zachodu, może istotną oddać nam przysługę i orjentować w sposób odpowiedni myśl czytelnika polskiego, który mu zaufa. I tylko w tym wypadku może być czynnikiem *kształcenia politycznego obywateli*.

(Dok. nastąpi).

St. Posner.

## Z V-ej serji.

### Świątym mi jesteś jak powiew anioła..

*Świątym mi jesteś, jak powiew anioła,  
Włoskich gościńców szary, żrący pyle,  
Któryś tulaczy polskich znoić czoła,  
Co kraj daleki wspominali mile...*

*Święte jesteście, Campanille szare,  
Których płaczące, przedwieczorne dzwony  
Kraj przywiewały ich oczom rodzony,  
Niby tkającą, szarą, łzawą mare...*

*Święte jesteście, srebrzyste obłoki,  
I polnych ptaszyn radosne świegoty,  
Bo z was się zrodził szloch pieśni głęboki  
I czysta perła, łza polskiej tęsknoty...*

*Świątym mi jesteś, każdy szary głazie,  
Tej pyłem wieków namaszczonej drogi,  
Na którym on i krwawili swe nogi,  
W wielkiej miłości najświętszej ekstazie...*

Wacław Wolski.

Omegna.

## Na marginesie.

### Dokoła elekcji.

Że się nasze wybory do Rady Miejskiej tak pogodnie skończyły — cud prawdziwy. Sądząc z gorącej agitacji, z obfitości prawdziwych i podrabianych list wszelkich możliwych kolorów, można się było Bóg wie czego spodziewać.

A tu nic. Cicho, cichutko. ładnie, grzecznie...

Strasznie zgryzł się tem specjalny korespondent „Daily Mail“, który przybył ekspresem, zaopatrzony w aparat do robienia filmów i koszulkę kulochronną.

— Djabli wiedzą — powiada — naco ja tu przyjeżdżałem. Żeby choć jeden ząb wybity, choć jedna noga przetrącona, choć jeden agitator wyrzucony przez okno. O, ludu, ludu beznamiętny!

Łzy miał w oczach.

— Mówią — ciągnął dalej — że my, anglicy, mamy flegmę. Jeżeli tak — to wy nawet flegmy nie macie, nic nie macie! Trupy jesteście!

Obraziłem się.

— No, no, bardzo proszę — wtrąciłem ostro. Anglik popatrzył na mnie, jakby trochę zdziwiony i po chwili sięgnął do portfela.

— Jedyna rzecz oryginalna, którą stąd wywożę to to..

Rozłożył numer „Gazety Codziennej” i Kurjera Litewskiego.

Teraz ja się z kolei zdziwiłem.

— Patrz pan — mówił dalej gość z Londynu — te dwie odezwy, drukowane zgodnie w obu pismach jedna pod drugą: „Wyborcy, głosujcie tylko na listę błękitną” i „Wyborcy, głosujcie tylko na listę białą” — to rzecz istotnie ciekawa. Ofiaruję do British Muzeum. Wiozę jednocześnie fotografię obu redaktorów i świadectwo policji, że żadnemu z nich włos z głowy nie spadł. U nas w najlepszym razie trzeba by ich było oddać do zacierowania.

— Czyż tak?

— Pewno!

— Toć to tylko ogłoszenia.

— Tak? Ogłoszenia? To ja dziś idę do Gazety Codziennej” i daję ogłoszenie: „Szanowna publiczności, nie bierz do ręki nigdy „Gazety Codziennej”. Jeśli każde ogłoszenie przyjmują, to i to umieścić powinni.

Zerwał się, jak oparzony, i pobiegł w kierunku ulicy Dominikańskiej.

Nie wiem, co tam było dalej. P. Obst napisał, że chodzi podwiązany, bo go zęby boła, gdyż w teatrze wiało... pod fotelem.

\*

A wyborca był w nielada kłopotcie.

Przywykł postępować zgodnie z radami „Kurjera Litewskiego”, więc medytował:

— Mówią, że na dwie listy nie można głosować.

— Oczywiście, że nie można.

— Patrz pan, w Kurjerze stoi: „głosujcie tylko na listę błękitną”...

— Więc nie marudź pan, bierz listę błękitną i jazda.

— Ba! kiedy zaraz pod tem napisano: „głosujcie tylko na listę komitetu bezpartyjnego, która jedynie jest bezstronna”.

— Prawda.

Zamyślił się, wpatrzeni w płachtę dziennika; wąsiskami ruszają, czoła marszczą...

— Ano, panie Onufry, trzeba coś postanowić.

Wyborca wstał, wdział palto, kapelusz rękawem oczyścił.

— Więc na którą listę?...

— Wszystko „równo”.

\*

— Pan mecenas! Ot, dobrze, że ja pana spotkał.

— Cóż takiego?

— Przysłali siedem kart kolorowych, niewiadomo co.

— To nie wiesz pan, że wybory?

— Wybory... Wiem, ale te karty... Podatek jaki, czy co?

— Tam spisani kandydaci.

— Aha, Tak cóż mnie robić z tem?

— Wezmiesz pan jedną z tych list i oddasz w dniu głosowania.

— Jedną? A toż ja siedem dostał.

— Oddać można tylko jedną.

— Która?

— Którą się panu spodoba.

— A z tamtymi co zrobić?

— Rzuć pan do pieca.

— Sztrafa za to nie będzie?

\*

— Idziesz pan głosować?

— A tak.

— Jaką pan masz listę?

— Ja? Białą.

— To źle. Bierz pan szarą, daleko lepsza.

— Nie, nie. Ja białą zapieczętowałem. Mnie ona podoba się.

— Podoba się panu? Dobrze wiedzieć. Ale pamiętaj pan: już ja nigdy do pańskiej bani nie przyjdę. Do Agresta będę chodził.

— Nu, coż tam zaraz... ee...

— Słowo daję, więcej mnie pan nie zobaczysz.

— Tak — daj pan ta szara lista.

\*

— Pan na kogo głosujesz?

— Moja rzecz.

— Pewno, że pańska. Ale można powiedzieć.

— Co tam gadać. Moja lista już w kopercie, zaklejona.

— Białą?

— Nie białą. Błękitną.

— Tylko czy nie fałszywa?

— Co ma być fałszywa...

— Bo są prawdziwe i podrabiane. O, widzisz pan? Ta na jednej kartce, a ta na dwu kartkach.

— A umnie na dwóch kartach.

— Bardzo źle. Fałszywa.

— Ot, widziałeś pan, byłby ja daremnie chodził. Tak coż mnie teraz robić?

— Ja panu dam drugą listę. Różową, bardzo dobrą.

— Ano, proszę dać. — Chwała Bogu, że my spotkawszy się, a to głos przepadłby.

\*

— Cóżci pan taki strapiiony?

— Okropność, okropność!

— Ależ co się stało?

— Spadłeś pan z księżycy, czy co? To pan nie wiesz, że nasz samorząd miejski, a przede wszystkim udział w nim polaków czeka obecnie straszliwa klęska?

— No, no, tylko bez przesady. Projekty nacjonalistów...

— Tu nie chodzi o projekty nacjonalistów! Sami! sami, panie, nałożyliśmy sobie stryk na gardło.

— Nic nie rozumiem.

— Jakto, więc pan nie wiesz, że wybrano do Rady Miejskiej zaciętych wrogów polskiego imienia? Że nie będziemy już mieli naszego zacnego p. Michała; że przewodzić tu będzie jakiś gruby muzyk z dziką gębą, rudą brodą...

— Czy pan... hm... tego... przypadkiem gorączki...

— No, proszę, tylko bez...

— Ja, panie, serjo.

— Więc pan nie czytałeś w „Kurjerze Krajowym“, że?...

— Nie.

— Ha, w takim razie nic dziwnego, że nic nie wiesz, co się dzieje. Ostrzegali wyraźnie: „zgodnie nieście do urny listę różową“, która „nie służy niczym interesom“...

— Jak pan powiada? Niczym...?

— Niczym ambicjom i niczym interesom.

— No i...

— Znalazło się wszystkiego... strach pomyśleć... trzech, na całe Wilno trzech uświadomionych obywateli, co ponieśli do urny zgodnie listę różową... Nikt więcej! Co za brak solidarności!

— Jeśli nie służyła niczym interesom, to właściwie kto ją miał nosić? Oczywiście nikt.

— Ale, panie, tu szło o wyższe dobro, dobro polskości, którą odważył się wziąć w obronę jedynie „Kurjer Krajowy“... no i „Wieczerna Gazeta“ podobno.

— W takim razie masz pan rację: biedna, biedna polskość...

*Behra.*

## W nowym teatrze.

— A jednak tam było milej...

— Gdzie?

— Tam, w cyrku.

— Jakto, w tej obskurnej budzie?

— Człowiek już się był przyzwyczył... Czulo się...

— Zapach stajni...

— Nie, nie to, ale... bo ja wiem...

Ot, prosto konserwatywizm. Tutejszy człowiek, gdy się do czegoś przyzwyczai, zmian nie pragnie.

Powyższego dialogu nie zmysłam. Słyszałem go na własne uszy i to kilkakrotnie. Cała pociecha, że publiczność nasza przyzwyczaja się łatwo i szybko do wszelkich możliwych warunków. Pozwala to przypuszczać, że i z nowym teatrem wreszcie się oswoi.

Powinna.

Okazuje się bowiem, iż korzystne wrażenie, jakie nowy zespół dał swym występem inauguracyjnym, wcale nie było przypadkowe. Za trupą obecną przemawia bardzo wiele. Sztuki wystawiane są starannie tak pod względem dekoracyjnym, jak i reżyserskim — o ile, naturalnie, pozwalają na to dwie premjery w tygodniu. A nadto pozyskano siły nie byle jakie.

O p. Orlińskim już wspominałem. Po Łatce z „Dożywocia“, dał nam wyborowego Stańczyka w „Weselu“. Jako Napoleon był słabszy. Rola to (w „Jeńcu“ Kozłowskiego) trudna. Ale nie te trudności zaważały artyście. Więcej mu szkodziło wpaśnięcie się w szablon cech zewnętrznych postaci. Oto wpada Bonaparte na scenę i raptem przypomina sobie, że musi koniecznie wetknąć palec pod kamizelkę. Potem czyta raporty. Napoleon — wiadomo — myślał szybko. Więc p. Orliński ledwo rzuci okiem na papier, już wie, co zawiera dwuarkuszowy referat. W ten sposób czyni się z człowieka marjonetkę.

Mimo wszakże te błędy, i w Napoleonie miał

p. Orliński bardzo wiele momentów, świadczących o niepowszednim talencie.

Nie na nim jednak kończą się istotnie wartościowe siły nowego zespołu. P. Neubelt to aktor, godzien niewątpliwie pierwszorzędnej sceny. Jako Twardosz (w „Dożywociu“), Ulm (w „Jeńcu Napoleona“), Mincenmajer (w „Najdostojszym przodku“), stworzył postaci zgoła różne, wykazując nietylko ogromną pomysłowość i dar obserwacyjny, ale też zdolność wcielania się całą swą istotą w dany plód wyobraźni. — To jest to właśnie, co w aktorstwie artystom stanowi.

Pamiętajmy, że nie każdy aktor (jak nie każdy malarz, nie każdy muzyk, nie każdy pisarz) jest artystą.

Artysta to zjawisko rzadkie nawet w tłumie — t. zw. „artystów“. Nie obfitują też w nich i sceny pierwszorzędne, choć mają aktorów doskonałych. Na nich to, na aktorach, na tłumie uzdolnionych pracowników opierają się teatry. Sztuka tkwi głównie w reżyserji oraz w odpowiedniemu używaniu posiadanego materiału, t. j. w trafnem obsadzeniu ról.

Ta lub inna obsada do niepoznania zmienić może cały utwór dramatyczny.

Oto np. bardzo ciekawym eksperymentem było powierzenie p. Skąpskiemu roli tytułowej w „Szaławile“ Glińskiego.

Krotchwila ta będąca produktem pokumania się jowialności swojskiej z pikantnym bezsenssem fars francuskich, literackiej wartości nie posiada żadnej, a teatralna — warunkową, zależną od tego, co z niej gra zrobi.

Z dużym powodzeniem wystawiany w Warszawie, „Szaławila“ nie tyle był dziełem Glińskiego, ile Fertnera (doskonałego komika tamtejszej farsy). Nie wystarczała też aktorska spółtwórczość; potrzebna była twórczość samodzielna.

Ale p. Skąpski twórcą nie jest. On na scenie daje tylko siebie, siebie samego. Mimo to, eksperyment — mojem zdaniem — wypadł interesująco. P. Skąpski ma warunki na odtworzenie tego właśnie Szaławila, którego autor napisał. I gdyby ów Szaławila występował na tle komedji, a nie farsy, rola wypadłaby zupełnie dobrze. Komedjowe potraktowanie figury tytułowej, t. j. położenie nacisku na jej indywidualność, fatalnie odbiło się na całości sztuki, uwypuklając jej słabe strony (jeden akt, w którym nic się nie dzieje i dwa akty, w których właściwie dzieje się jedno i to samo).

Daleko lepiej powiodło się w interpretacji wileńskiej „Jeńcowi Napoleona“. Akt pierwszy, najslabszy, który nadmiernie się dłuży, interesował dekoracyjnością i żywym tempem. Autorowi pospieszyła tu z sukursem dobra reżyserja. Dwa następne akty specjalnego wysiłku z jej strony już nie wymagają; akcja w nich potoczysta, a uwaga widowni mocno samą fabułą ujarzmiona. Wystarczyła poprawna gra większości wykonawców.

Nietylko jednak na poprawność umieją się oni zdobyć. Przekonał nas o tem „Mój najdostojniejszy przodek“ Schmiedena. Sztuka ta ma być niby satyrą, satyrą na Wilhelma. Jest to jednak satyra *nadwornego* satyryka: ogromnie uprzejma, ogromnie berlińska, niemal czołobitna. Satyra jaką uprawiają podrzędni kupceści, którzy niby sztydzą z gawiedzi, a w rzeczywistości starają się wkrasć w jej łaski.

Niemniej utwór Schmiedena jest majsterszty-

kiem roboty dramatopisarskiej, Nie dziw więc, że ludzie teatru podnieca i do wysiłków zachęca.

To też niemal każdy aktor, co grał w tej sztuce, wykazywał mocne przejęcie się rolą. Główna postać, księżę Anno, znalazła w p. Brylińskim wykonawcę bardzo odpowiedniego. Był naturalny, żywy, prosty, a nie pozabawiony majestatu. Znany z opisów i portretów pierwowzór zręcznie i z umiarem skopjował. Tylko czy Wilhelm naprawdę tak niewyraźnie mówi? Jeśli tak, to nie dziwnego, że i jego intendent (p. Dambrowski) połyka sylaby; wiadomo, że dworacy lubią naśladować suwerenów. Pozatem wszakże i ów intendent baron v. Luck był postacią zupełnie wyraźną, konsekwentną. Ślicznie zagrał rolę dworskiego fagasa-dyplomaty p. Strycharski. P. Dembowicz (Sauerland, kierownik literacki teatru) odrobnie przeszarżował, choć nie przekroczył granic możliwości typu. Ale wobec subtelnej gry innych — zwłaszcza p. Neubelta—stworzona przezeń karykatura zrobiona była nieco zbyt grubo. Jedną z najlepszych scen dało krótkie wejście p. Bieleckiego. Tercet: Dąbrowski, Dembowicz, Bielecki — wypadł bez zarzutu.

Co się tyczy ról niewieścich...

Nie wiem, czy personel kobiecy nie miał jeszcze sposobności wykazania sił swoich, czy też wogóle od męskiego prezentuje się słabiej?..

Czas to rychło pokaże.

W sztuce Schmiedena np. artystki miały ograniczone pole popisu. P. Mostowska już w „Jeńcu Napoleona“ zwróciła na się uwagę bardzo ładną charakterystyką. Tam wszakże, jako Korczakównie, brakło jej temperamentu. W roli księżny Meli brak ten nie wadził. P. Bończa zaś temperament ma, i owszem; ale role traktuje lapidarnie i nawet nie widać wysiłku w kierunku delikatniejszego czytelowania szczegółów. To samo da się powiedzieć o p. Czernekównie, która w „Szaławile“ miała do wykonania równie niedowcipną, jak nieprawdopodobną rolę. Dowcipu jej nie dodała, ale zato podkreśliła tem mocniej nieprawdopodobieństwo.

B. H.

## Wystawa dzieł Czurlanisa.

W niedzielę 20 października (2 listopada) Litewskie Towarzystwo Sztuk Pięknych otworzyło w lokalu własnym (róg Zawalnej i Nowej) wystawę obrazów zmarłego w r. 1911 artysty Mikołaja-Konstantego Czurlanisa. Imię Czurlanisa i twórczość jego na polu sztuki plastycznej, która zyskała gorące uznanie w całym świecie artystycznym, gdziekolwiek prace jego były wystawiane lub reprodukowane, znane już są poniekąd wilnianom z dorocznych wystaw litewskich oraz ze specjalnej wystawy pośmiertnej dzieł jego z r. 1911.

Jest to wystawa stała obrazów artysty. Dla Wilna, dla kultury artystycznej miasta, — galerja ta jest nabytkiem wielkiej wagi. Zobrazowana jest w niej cała twórczość artysty niepowszedniej miary, którego przedziwne niepospolite kompozycje malarskie stanowią zjawisko nawskroś oryginalne w świecie sztuki spóczesnej.

Czurlanis nie należał do żadnej znanej szkoły

malarskiej, szedł samotnie własną drogą twórczości indywidualnej, nie naśladował nikogo, nie idąc za popularną modą i manjerą, nie schlebując żadnym prądom lub gustom. Talent jego wyrazisty i głęboki, jak głęboką była dusza artysty, nie umiał naginać twórczego lotu do jakichś gustów zewnętrznych lub do potrzeb tej lub innej tendencji. Tworzył z własnych źródeł ducha swego, wyrażał to, co czuł i o czem myślał artysta, a że człowiekiem był, przeto odtwarzając ducha własnego, odtwarzał tęsknoty i zagadnienia ludzkie, wyrażał w kształtach indywidualnych zjawiska wszechludzkiego świata myśli i uczucia. To też sztuka Czurlanisa, nawskroś oryginalna i nie holdująca manjerze żadnej szkoły, jest niemniej sztuką nie tylko jego własną, i nie tylko jego narodową, lecz ogólnoludzką w najszerszym znaczeniu słowa. Powiedziałbym nawet, że jest ona zjawiskiem najczystsze-go humanizmu, bowiem są w niej wszystkie pierwiastki ducha ludzkiego bez względu na czas i miejsce, właściwe czy to litwinom, do których należał artysta, czy polakom, czy ludziom wszelkiej innej narodowości.

Dlatego też dzieła Czurlanisa, mimo swej wybitnej indywidualności, która go do żadnej szkoły zaliczyć nie daje, są w równej mierze cenione wszędzie przez artystów i miłośników sztuki, bez względu na środowisko narodowe i kulturalne, gdziekolwiekby były przedstawiane.

Sztuka Czurlanisa nie jest popularną w znaczeniu zdawkowem, bo dla szerokiego tłumu łatwiejszą strawą jest obrazek namalowany podług szablonowej manjery, oleodruk jakiś nawet, niż dzieło wybitnego natchnienia, wielka wizja kompozytora-artysty.

Czurlanis—kompozytor-malarz był zarazem kompozytorem-muzykiem. Jego spuścizna artystyczna w tych dwóch sferach sztuki się zamyka. Co do formy i wyrazu są to dwa odrębne światy, których połączyć w jednej ekspozycji niepodobna; atoli co do treści swojej i samej istoty twórczości Czurlanisa oba te wyrazy wzajemnie się uzupełniają i zlewają w całość jednolitą.

Wystawy dzieł poszczególnych artystów, obrazujące całą ich twórczość, są zawsze cenione i służą ozdobą miast, w których są założone. Taka wystawa stała przybyła Wilnu. Jest ona nową i wybitną placówką naszej zaniedbanej dotąd kultury artystycznej.

Na uroczystem otwarciu wystawy Zarząd Litewskiego Towarzystwa Artystycznego witał zgromadzonych gości mowami w językach miejscowych. Zwłaszcza piękną była mowa polska p. Stefana Kairysa; mówca uwydatnił pięknie wszechludzki pierwiastek sztuki, który łączy ludzi bez względu na dzielące ich różnice i zatargi klasowe, stanowe, wyznaniowe i narodowe.

Spektator.

## PRASA POLSKA.

— Listopadowy zeszyt „Humanisty Polskiego“ przynosi uwagi Aleksandra Świętochowskiego o dwóch prądach, walczących z sobą w polityce polskiej nie od dzisiaj, lecz nabierających obecnie coraz większego natężenia i przeciwności wobec nieuniknionych bliskich rozstrzygnięć zasadniczych. Istotę tych prądów Świętochowski określa w następujących słowach:

„Jeden z nich, oportunistyczno - ugodowy, reprezentowany przez realistów i ułóżsamionych z nimi na-

rodowo - demokratów, twierdzi, że należy wszystko bez oporu przyjąć, co raczy dać siła, której złamać nie można i, zapomniawszy o nieziszczalnych pragnieniach, zużytkować cierpliwie i pokornie każdą korzyść; drugi zasadniczo-opozycyjny, reprezentowany przez żywoły postępowe i demokratyczne, wymaga odrzucenia się drobnym korzyści, niż słusznej zasady. Oba te kierunki opinii przełamują się obecnie na dwu pierwszorzędnych kwestjach: uchwalaniu i zakładaniu przez gminy wiejskich oraz na samorządzie miejskim według poprawki Rady państwa, usuwającej z obrad język polski. Ugodowcy dowodzą, że lepsza jest szkoła rosyjska lub półrosyjska i takż samorząd, niż żadne, opozycjoniści utrzymują przeciwnie, że mniej szkody wyrządzi zupełny brak tych instytucji, niż działanie wynaturzonych.

Opinię swoją o słuszności w sporze obu tych prądów streszcza Świętochowski, jak następuje:

„Niemożna zaprzeczyć przysłowiowemu „rydzowi“, że on przedstawia większą wartość aniżeli „nie“, ale w obecnych wypadkach rozstrzygającą może być tylko różnica wagi zysków i strat. Otóż te ostatnie nabierają szczególnego znaczenia doniosłości przez to, że przyjęcie owego „rydza“ przesądza na długo, jeśli nie na zawsze, spór nieugiętej siły ze skrzywdzoną słabością. Odtąd znikają „kwestje“, jako ostatecznie załatwione, i społeczeństwo godzi się z redukcją swojego życia. Jeżeli zaś po argumenty sięgniemy do praktyki, to łatwo przekonamy się, że oportunisty, wygrywając na razie korzyści drobne, przegrywał w końcu wielkie, natomiast wytrwała obrona zasad dawała zawsze, chociaż później, zwycięstwa doniosłe. Czy irlandczycy otrzymaliby homerule, czy rusini w Galicji zdobyliby tyle praw, czy centrowcy w Prusach złamaliby ustawy majowe, gdyby zeszli ze swego nieprzejednanego stanowiska?”

Skurczanie swych żądań w sprawie samorządu aż do żebraczej skromności i poprzestanie na mniejszym zakresie praw społeczeństwa polskiego, niż mu przyznał w swym projekcie rząd rosyjski, uważa Świętochowski za niemożliwe i pisze:

„Przyzwyczailiśmy się do wielkiej potulności naszego ogółu, ale chyba w tym wypadku odpowiedzialny on zgroza swym przedstawicielom parlamentarnym. Polacy, niedosięgający swemi wymaganiami dla własnego narodu poziomu biurokracji rosyjskiej — byłiby zjawiskiem wprost potwornym“.

Głos znakomitego publicysty nabiera tem większego znaczenia, gdy się weźmie pod uwagę, że Świętochowski w swych wskazaniach politycznych odznaczał się zawsze umiarkowaniem i nie należał nigdy do obozu nieprzejednanych. Ale i possybilizm ma swoje granice...

— W „Tygodniku Polskim“ p. H. C. zwraca uwagę na grunt małomiasteczkowy i jego niepodatność pod kulturalne siewy. Charakterystyka ludności, zamieszkującej miasteczka i osady w Królestwie Polskiem *mutatis mutandis* daje się zastosować i do naszego kraju.

„Dziwny bo jest to rodzaj ludności. Drobnymi rolnicy, rzemieślnicy i właściciele posesji miejskich zarazem — ludzie ci nie należą właściwie do żadnej klasy społecznej. Są najmarniejszymi w kraju rolnikami, licho wykonywają rzemiosła, handel pozwolili bezwzględnie ogarnąć żydom, a jako t. zw. „obywatele“ cierpią przede wszystkim na zupełny zanik poczucia obywatelskiego.

Mieszkańcy miasteczek naszych i osad (oczywiście wyłączam tu nieliczne garstki rozsianej po prowincji inteligencji zawodowej) wyróżniają się w kraju, na ogół ciemnym swoją ciemnotą. Wprawdzie każdy z nich prawie umie jako tako czytać i gorzej pisać, bo prawie każdy kończył rządową szkołę początkową, umie więc i po rosyjsku i po polsku, ale tu jeszcze raz na przykładzie tym stwierdzić można, że umieć czytać, a być człowiekiem oświeconym — są to rzeczy bynajmniej nie wynikające jedna z drugiej. Ludzie, ci umieją czy-

tać, ale ponieważ nie czytają nigdy, pograżeni są w mrokach ciemnoty. Pisma ludowe mają wśród tych sfer tylko bardzo nielicznych abonentów. Pisma dla inteligencji nie prenumerują również. Potrzeby ich umysłowe bowiem są bardzo ograniczone. Czasem, pożyczona u doktora czy aptekarza gazeta, zaspokoi ciekawość podrażnioną jakimś poszczególnym wydarzeniem. Książka nielicznych ma pośród nich zwolenników.

Jedną z charakterystycznych cech tego elementu, żyjącego po miasteczkach i osadach naszych w pewnym odosobnieniu od reszty społeczeństwa, jest też i zakamieniałe konserwatyzm.

Podczas gdy robotnik fabryczny i włościanin stanowią żywoły, szybko posuwający się naprzód, żywoły ruchu i rozwoju — mieszczanin pewny siebie, względem inteligentów nieufny, zaleniwiły w tradycyjnym małomiasteczkowym bycie, jest typowym okazem zastoju, martwoty, śpiączki. Spory i procesy z sąsiadami, licho i bez żadnych dążeń do postępu wykonywana praca codzienna, w święta pijatyka, a zawsze i wszędzie panoszenie się nad rzekomo niższymi, wypełniają mu życie“.

„Kładzenie interesu swego przed interesem publicznym, bezprzykładne sobkostwo i zupełne nieistnienie w dziedzinie życia publicznego pobudek etycznych i bodźców wyższego rzędu — oto z czem styka się każdy działacz, próbujący na błotnistym rynku małej miejsciny posiać ziarna lepszej przyszłości“ — do tak wysoce pesymistycznego wniosku dochodzi p. H. C. A jednak nie należy ręk opuszczać i poddawać się zniechęceniu ostatecznemu. Zwłaszcza na Litwie i Rusi miasteczka muszą być otoczone czujną opieką społeczeństwa.

## Wypadki nieszczęśliwe z robotnikami.

W warszawskim Okręgu fabrycznym, obejmującym 10 gub. Królestwa Polskiego oraz gubernje litewskie, w r. 1912 było 8.785 wypadków nieszczęśliwych, pociągających za sobą wynagrodzenie na mocy przepisów z r. 1903.

W liczbie poszkodowanych, według danych inspekcji fabrycznej, było: 34 dzieci, 617 małoletnich, 7111 mężczyzn dorosłych i 1023 kobiety.

W gubernjach poszczególnych, w stosunku do ogólnej liczby robotników fabrycznych, wypadki miały miejsce:

Gub.	Ilość robotników.	Poszkodowanych na 1000
Warszawska . . . . .	82558 . . . . .	28
Wileńska . . . . .	12357 . . . . .	7
Grodzińska . . . . .	17605 . . . . .	11
Kaliska . . . . .	13596 . . . . .	5
Kowieńska . . . . .	6231 . . . . .	41
Kielecka . . . . .	8118 . . . . .	24
Łomżyńska . . . . .	3641 . . . . .	25
Lubelska . . . . .	11001 . . . . .	10
Piotrkowska . . . . .	172439 . . . . .	31
Płocka . . . . .	5172 . . . . .	5
Radomska . . . . .	10140 . . . . .	20
Suwańska . . . . .	1637 . . . . .	3
Siedlecka . . . . .	3686 . . . . .	13

Najwięcej wypadków, stosunkowo, jak widzimy, było w gub. kowieńskiej, drugie miejsce zajmuje gub. piotrkowska. To wyróżnienie się gub. kowieńskiej zasługuje na baczniejszą uwagę. Największy odsetek nieszczęśliwych wypadków miał miejsce w metalurgji fabrykach maszyn — na 1000 osób, zatrudnionych



# BIURO PARCELACYJNE i LEŚNE

SPECJALISTY LEŚNIKA **Józefa Łastowskiego** (byłego p. o. Członka Banku Włociańskiego)  
 Wilno, просп. Ś-to Jerski, dom № 43, m. 5. — Telefon 14-69.

## Parcelacja, likwidacja

majątków ziemskich z udziałem Banków Ziemskich  
 i Włociańskiego.  
 Szacowanie majątków przy ich kupnie i sprzedaży.



## Urządzenie gospodarstw leśnych

szacowanie lasów oraz wykonywanie innych robot  
 w zakres leśnictwa wchodzących.  
 Informacje od godz. 12 do 1 i od 5 do 6 wieczór.

# AMELIN

Warszawa-Mokotów,  
 ul. Nowo-Aleksandryjska № 65.

**Zamknięty Zakład Lecznicy dla nerwowo-chorych kobiet i mężczyzn.**  
 Dyrektor Zakładu Dr. med. R. Radziwiłłowicz.

Komitet leczniczy: Doktorzy: M. Bornstein, E. Flatau, W. Gajkiewicz, W. Męczkowski, St. Orłowski, A. Puławski, R. Radziwiłłowicz. — Konsultanci zakładowi: R. Bernhardt (syfisy i choroby skórne), T. Gryglewicz (rozbiory lekarskie), A. Natanson (ginekologja), E. Zieliński (choroby wewnętrzne).

Wiadomość na miejscu, telefony 99-54, 303-38.

# WILEŃSKA KASA RZEMIEŚLNICZA

zaułek Ś-to Michalski № 14.

Przyjmuje kapitały tudzież oszczędności (od 1 rubla) na lokatę.  
 Wydaje pożyczki od rb. 10 do 100-tu.

Otwarta w poniedziałki, środy i piątki od godz. 6 do 8 wieczorem.

## Śpieszcie nabywać działki ziemi w Zwierzyńcu.

Do sprzedania pozostała szczupła ilość gruntu. ———— Obszar parceli według życzenia nabywców.

CENY NIZKIE. :—: WARUNKI DOGODNE.

Są w niewielkiej ilości parcele przy rzece. Po informacje należy zwracać się do Biura sprzedaży parceli w Zwierzyńcu

Wilno, „Zwierzyniec“.

Prospekt Ś-to Jerski d. № 68. Haase. (drugi dom od mostu Zwierzynieckiego). Telef. № 46.